ZEMSTA

ALEKSANDER FREDRO

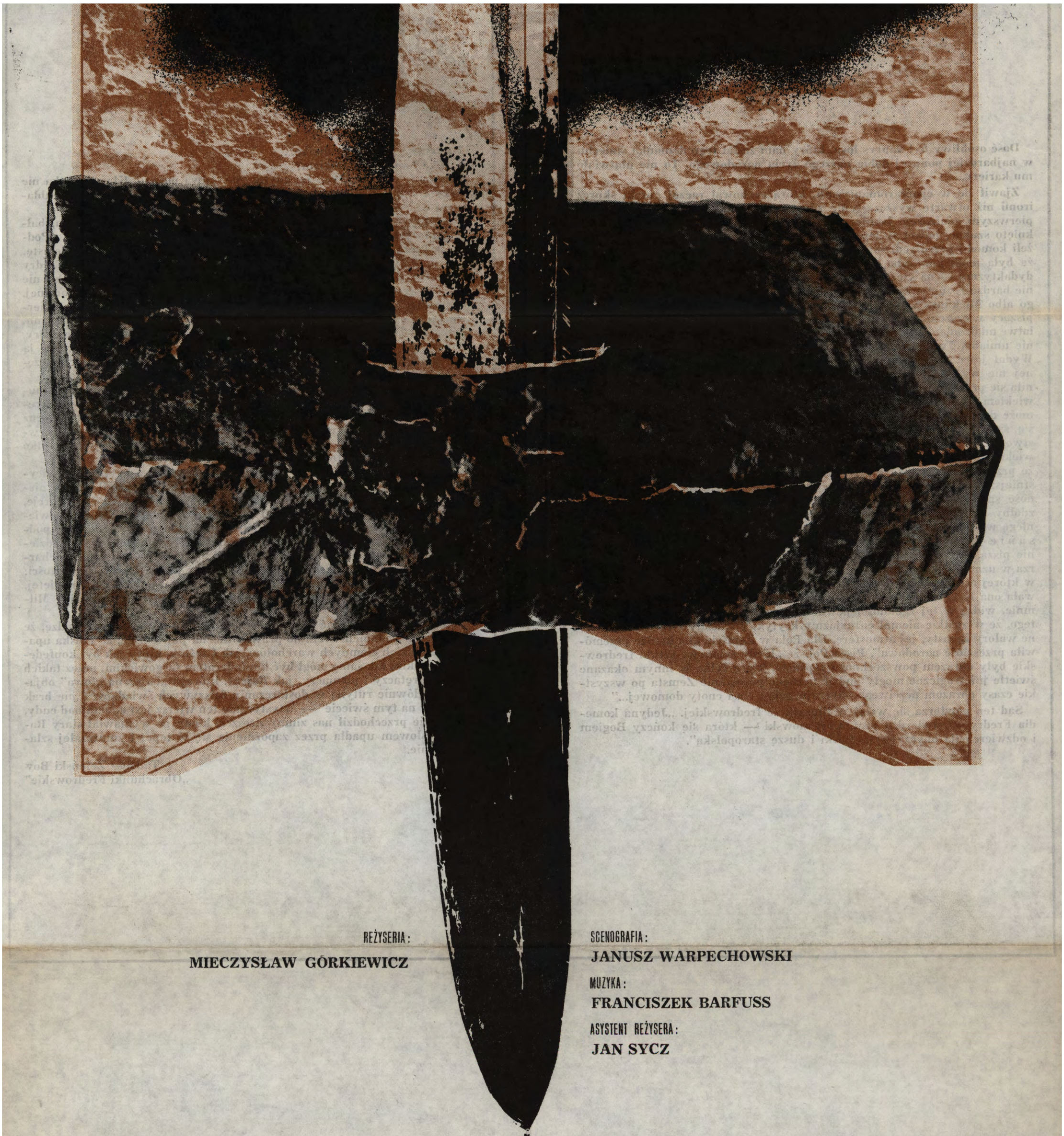

REŻYSERIA:

MIECZYSŁAW GÓRKIEWICZ

SCENOGRAFIA:

JANUSZ WARPECHOWSKI

MUZYKA:

FRANCISZEK BARFUSS

ASYSTENT REŻYSERA:

JAN SYCZ

OBSADA:

CZEŚNIK RAPTUSIEWICZ
— MIECZYSŁAW GÓRKIEWICZ

KLARA, jego synowica
— HALINA SKOCZYŃSKA

REJENT MILCZEK
— JÓZEF DIETL

WACŁAW, syn rejenta
— ADAM SADZIK

PODSTOLINA
— ZOFIA KALIŃSKA
STANISŁAWA WALIGÓRZANKA

PAPKIN
— ZBIGNIEW BEDNARCZYK

DYNDALSKI, marszałek Cześnika
— TADEUSZ TARNOWSKI

ŚMIGALSKI, dworzanin Cześnika
— TADEUSZ BRICH

PEREŁKA, kucharz Cześnika
— WACŁAW CZAICKI

MULARZE
— ADAM RACZKOWSKI
STANISŁAW ZACHARA

TEATR BAGATELA

im TADEUSZA BOYA ŻELEŃSKIEGO

dyrektor i kierownik artystyczny
Mgorkiewicz-

ALEKSANDER FREDRO

Dość osobliwy był kaprys losu, który nam zesłał tego demonka śmiechu w najbardziej ponurej dobie naszego życia narodowego. To nie ułatwiało mu kariery...

Zjawił się w epoce romantyzmu, którą cechował raczej gorzki skurcz ironii niż otwarte wyszczerzenie zdrowych zębów. Fredro był przy tym pierwszym geniuszem komicznym w kraju, gdzie w literaturze przywyknięto szukać, nawet w lepszych czasach, cokolwiek kaznodziejstwa. Jeżeli komedii przedfredrowskiej pozwolono w Polsce żyć, to dlatego może, że była mało komiczna, a bardzo obywatelska, dydaktyczna. Fredro — dydaktyzmu — na szczęście — nie lubił. Artyzmu komedii samej w sobie nie bardzo rozumiano, czego dowodem wzgardliwe milczenie Mochnackiego albo Mickiewicza w stosunku do Fredry. Trzeba przyznać, że Fredro piszący wierszem w najbardziej bohaterskiej epoce naszej poezji — niełatwe miał zadanie; przykładać zaś do niego własnej, swoistej miary jeszcze nie umiano. Tuż po „Ślubach", „Zemście", „Dożywociu„ Fredro zamilkł. Wydał jeszcze te sztuki, które były grane, i oświadczył, że odtąd żadnej nie wystawi ani nie ogłosi drukiem. Abstynencja Fredry uwidoczniła się przez to, że był on przez swą pozycję społeczną i towarzyską człowiekiem na świeczniku i że sam nadał pewną ostentację temu, co byłoby może dość zwyczajnym faktem. Za młodu służył wojskowo, potem bawił się, szalał, kochał się i pisał, potem małżeństwo, dzieci, rodzina, gospodarstwo, działalność publiczna — to może dość naturalny rytm życia u człowieka, który nie uległ zawodowej deformacji literackiej? Jest pewne, że przy najgłębszym wyrachowaniu nie mógłby Fredro wymyślić korzystniejszej okoliczności dla swojej chwały. Normalnym torem czekał go los dość smutny. Po szczycie nastąpiłby zapewne schyłek; pisał nierówno, zdolny był produkować rzeczy słabe. Jeżeli po arcydziełach zapadały na niego wyroki tak srogie, cóż dopiero byłoby wówczas! Natomiast n i e p i s a n i e jest w Polsce wielkim atutem. Dziwnie u nas lubią pisarzy, którzy nie piszą. Trwałe lub bodaj długie milczenie nieraz więcej posuwa pisarza w uznaniu ogółu niż przedtem cała bogata działalność. Jedną ze sztuk, w której ocenie zdarzało się rozbieżności najmniej, była Zemsta. Znajdowała ona łaskę nawet ongi u najsurowszych krytyków Fredry. Ale co do

I wszyscy grają w tą dudkę...

Sztuka kończy się Bogiem?

Trudno nie zauważyć, że gdyby nie „dwa posągi" Klary, sztuka nie kończyła by się Bogiem, ale nowym procesem wytoczonym przez nieubłaganego Rejenta.

„Uczciwy obyczaj"? Te pieniactwa, gwałty, fałszywe świadectwa, bałwochwalczy kult pieniądza; „obraz cnoty domowej" — te szacherki z Podstoliną, która wędruje niemal z rąk do rąk i w którą ojciec przez zemstę, chciwość i pychę chce ubrać własnego syna? Promienny uśmiech Fredry zmienia te wszystkie brzydactwa w piękno, ale czar tego uśmiechu nie powinien urzec aż do popełnienia tych grubych omyłek natury moralnej.

Wszystko jest bardzo żywe, prawdziwe w każdym słowie i geście i wiernie maluje obyczaj szlachecki, zwłaszcza z epoki rozkładu; co do artyzmu, co do wizji świata, Zemsta jest klejnotem jedynym w skarbcu literatury. Topnieję z rozkoszy oglądając ją dobrze graną na scenie. Ale uważać ją za autorem „Przygód Benedykta Winnickiego" za wzór poczciwości, szczęścia i cnoty, to mi się wydaje osobliwym nieporozumieniem.

Jeszcze dziwniejsze wydaje mi się, że ktoś odważa się twierdzić — zbudować na poparcie tego stwierdzenia jakże sztuczne konstrukcje — że Fredro „chciał tu pokazać, jak pojmuje prawdziwą staropolszczyznę"! A już najdziksze to widzieć w Zemście, jak tenże sam komentator — „królewskie blaski przeszłości". Co tu jest królewskiego? Królewska jest tu tylko poezja Fredry; reszta to małe świństwa drobnych ludzi.

W apoteozie tego ponurego sarmatyzmu nasza nowa krytyka przelicytowała swoich poprzedników. Jeżeli Tarnowski (który wielbił Fredrę niemal bez zastrzeżeń, ale w ocenie fredrowskiego świata „znał proporcje, mocium panie"), charakteryzując (1876) dwóch bohaterów Zemsty, powiedział, że gdyby mieli stanowisko i siły po temu, Cześnik „urażony, podniósłby rokosz jak Zebrzydowski o kamienicę", a Rejent „jak Radziejowski wyniósłby się chyłkiem i sprowadził Szwedów" — to prof. Kucharski pisze ni mniej ni więcej, że Polska urosła z takich dwu sił i wartości: z połysku stali w rękach takich rębaczy jak Raptusiewicz, i z nieugiętej, żelaznej woli, skupionej w mózgu takich bajecznych głowaczy jak Mil-

Dość osobliwy był kaprys losu, który nam zesłał tego demonka śmiechu w najbardziej ponurej dobie naszego życia narodowego. To nie ułatwiało mu kariery...

Zjawił się w epoce romantyzmu, którą cechował raczej gorzki skurcz ironii niż otwarte wyszczerzenie zdrowych zębów. Fredro był przy tym pierwszym geniuszem komicznym w kraju, gdzie w literaturze przywyknięto szukać, nawet w lepszych czasach, cokolwiek kaznodziejstwa. Jeżeli komedii przedfredrowskiej pozwolono w Polsce żyć, to dlatego może, że była mało komiczna, a bardzo obywatelska, dydaktyczna. Fredro — dydaktyzmu — na szczęście — nie lubił. Artyzmu komedii samej w sobie nie bardzo rozumiano, czego dowodem wzgardliwe milczenie Mochnackiego albo Mickiewicza w stosunku do Fredry. Trzeba przyznać, że Fredro piszący wierszem w najbardziej bohaterskiej epoce naszej poezji — niełatwe miał zadanie; przykładać zaś do niego własnej, swoistej miary jeszcze nie umiano. Tuż po „Ślubach", „Zemście", „Dożywociu„ Fredro zamilkł. Wydał jeszcze te sztuki, które były grane, i oświadczył, że odtąd żadnej nie wystawi ani nie ogłosi drukiem. Abstynencja Fredry uwidoczniła się przez to, że był on przez swą pozycję społeczną i towarzyską człowiekiem na świeczniku i że sam nadał pewną ostentację temu, co byłoby może dość zwyczajnym faktem. Za młodu służył wojskowo, potem bawił się, szalał, kochał się i pisał, potem małżeństwo, dzieci, rodzina, gospodarstwo, działalność publiczna — to może dość naturalny rytm życia u człowieka, który nie uległ zawodowej deformacji literackiej? Jest pewne, że przy najgłębszym wyrachowaniu nie mógłby Fredro wymyślić korzystniejszej okoliczności dla swojej chwały. Normalnym torem czekał go los dość smutny. Po szczycie nastąpiłby zapewne schyłek; pisał nierówno, zdolny był produkować rzeczy słabe. Jeżeli po arcydziełach zapadały na niego wyroki tak srogie, cóż dopiero byłoby wówczas! Natomiast n i e p i s a n i e jest w Polsce wielkim atutem. Dziwnie u nas lubią pisarzy, którzy nie piszą. Trwałe lub bodaj długie milczenie nieraz więcej posuwa pisarza w uznaniu ogółu niż przedtem cała bogata działalność. Jedną ze sztuk, w której ocenie zdarzało się rozbieżności najmniej, była Zemsta. Znajdowała ona łaskę nawet ongi u najsurowszych krytyków Fredry. Ale co do mnie, widzę w tej zgodności pewne nieporozumienie. A mianowicie dlatego, że wszystkie niemal entuzjazmy krytyki podnosiły zwłaszcza moralne walory Zemsty, jej atmosferę. Dla Pola w Zemście „na koniec przemówiła przeszłość narodowa". Pisze Pol, że „kiedy salonowe sztuki fredrowskie były obrazem powszechnego zepsucia, które tylko w innym okazane świetle już tragiczne mogły budzić uczucia, pozostanie Zemsta po wszystkie czasy obrazem uczciwego obyczaju, szczęścia i cnoty domowej..."

Sąd ten powtarza się wciąż w literaturze fredrowskiej. „Jedyna komedia Fredry — stwierdza prof. Chrzanowski — która się kończy Bogiem i odzwierciedla obyczaj staropolski i duszę staropolską".

I wszyscy grają w tą dudkę...

Sztuka kończy się Bogiem?

Trudno nie zauważyć, że gdyby nie „dwa posągi" Klary, sztuka nie kończyła by się Bogiem, ale nowym procesem wytoczonym przez nieubłaganego Rejenta.

„Uczciwy obyczaj"? Te pieniactwa, gwałty, fałszywe świadectwa, bałwochwalczy kult pieniądza; „obraz cnoty domowej" — te szacherki z Podstoliną, która wędruje niemal z rąk do rąk i w którą ojciec przez zemstę, chciwość i pychę chce ubrać własnego syna? Promienny uśmiech Fredry zmienia te wszystkie brzydactwa w piękno, ale czar tego uśmiechu nie powinien urzec aż do popełnienia tych grubych omyłek natury moralnej.

Wszystko jest bardzo żywe, prawdziwe w każdym słowie i geście i wiernie maluje obyczaj szlachecki, zwłaszcza z epoki rozkładu; co do artyzmu, co do wizji świata, Zemsta jest klejnotem jedynym w skarbcu literatury. Topnieję z rozkoszy oglądając ją dobrze graną na scenie. Ale uważać ją za autorem „Przygód Benedykta Winnickiego" za wzór poczciwości, szczęścia i cnoty, to mi się wydaje osobliwym nieporozumieniem.

Jeszcze dziwniejsze wydaje mi się, że ktoś odważa się twierdzić — zbudować na poparcie tego stwierdzenia jakże sztuczne konstrukcje — że Fredro „chciał tu pokazać, jak pojmuje prawdziwą staropolszczyznę"! A już najdziksze to widzieć w Zemście, jak tenże sam komentator — „królewskie blaski przeszłości". Co tu jest królewskiego? Królewska jest tu tylko poezja Fredry; reszta to małe świństwa drobnych ludzi.

W apoteozie tego ponurego sarmatyzmu nasza nowa krytyka przelicytowała swoich poprzedników. Jeżeli Tarnowski (który wielbił Fredrę niemal bez zastrzeżeń, ale w ocenie fredrowskiego świata „znał proporcje, modum panie"), charakteryzując (1876) dwóch bohaterów Zemsty, powiedział, że gdyby mieli stanowisko i siły po temu, Cześnik „urażony, podniósłby rokosz jak Zebrzydowski o kamienicę", a Rejent „jak Radziejowski wyniósłby się chyłkiem i sprowadził Szwedów" — to prof. Kucharski pisze ni mniej ni więcej, że Polska urosła z takich dwu sił i wartości: z połysku stali w rękach takich rębaczy jak Raptusiewicz, i z nieugiętej, żelaznej woli, skupionej w mózgu takich bajecznych głowaczy jak Milczek".

To się nazywa podbijać bębenka! skoro już tak daleko sięgać, sądzę, że w większym podobieństwem do prawdy można powiedzieć, że Polska upadła przez takich ciemnych warchołów, jak Cześnik, który jak był konfederatem barskim tak samo mógł być konfederatem targowickim, przez takich sobków, krętaczy i pieniaczy, jak Rejent, którego „bajeczna głowa" objawiła się głównie rutyną w dostarczaniu fałszywych świadków („nie brak świadków na tym świecie" — artystycznie ten wiersz jest cudem nad cudy, ale czy nie przechodził nas zimny dreszcz, kiedy go wymawiał stary Rapacki?); słowem upadła przez zapóźnienie się w tępej i zmurszałej szlachetczyźnie.

Tadeusz Żeleński Boy
„Obrachunki Fredrowskie"

Redakcja programu:
TERESA CZERNIEJEWSKA-HERZIG

Opracowanie graficzne:
MŚCIWÓJ OLEWICZ

DN-8 1122/77 3.000 egz. — C-25(1339)

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY